

Die 12 julii, Dydnia

Jednak pan ojciec nie umarł ani tego, ani następnego dnia. Leżał, nie wzywając nikogo, nie wiedząc o bożym świecie, nie znając, czy dzień to, czy noc albo świt. Jakby po wyznaniu swojej największej winy nie miał już nic do dodania i powiedzenia. Miechowita modlił się u jego wezgłowia, panny służebne zmieniały się o każdej porze; Jacek i Przeclaw zaś sypiali równie mało – pilnowali przecież nie tylko łoża boleści rodzica, ale przede wszystkim tego, aby jeden nie wydarł drugiemu jakiejś części spadku po niedoszłym nieboszczyku.

A tymczasem Aleksander Dydyński gościł jak ogarek świecy – może i dlatego, iż nie mógł pogodzić się ze swym upadkiem. Wczoraj pan stolnik sanocki, który pił zdrowie sąsiadów, sądził się, jeździł konno z podniesioną głową, dzisiaj leżał jak spróchniały pień, jutro zaś miał stać się sługą nieboszczykiem, a jedynie stele nagrobne i figury świadczyć mogły o jego powadze i znaczeniu. *Hic transit gloria mundi*²⁴.

Najtragiczniejsza była w tym wszystkim nagła pustka, która zamieszkała we dworze w Dydni wraz z chorobą starego. Zarówno Jacek, jak i Przeclaw pamiętali ojca jeszcze żywego, surowego, wyniosłego pana, karcącego ich na czerwonym kilimie, utrzymującego żelaznym kułakiem mir i porządek między czeladzią i chłopami, czasem nadmiernie szafującego kłódą i gąsiorami. Buntowali się przeciwko niemu – Przeclaw skrycie, jako młodszy, Jacek otwarcie, bo starszy. I prawdę powiedziawszy, to przez ten bunt i nieposłuszeństwo przeciwko świętej władzy rodzicielskiej jeden poszedł do szkół w Krakowie, a drugi do wojska – choć za ojcowskie pieniądze i starania. Jacek pamiętał, że wiele razy rodzic mimo całej zachowywanej przez niego powagi i dostojeństwa wydawał mu się śmieszny. Ot, zwykły podstarzały dziadyga, który trzymał się sanockich wiosek jak rzep psiego ogona albo plebejusz rękawa pańskiej delii. I ani

24 łac. – Tak przemija sława tego świata

myślał, że gdyby je spieniężył, to we wschodnich województwach Korony albo Litwy kupiłby znaczny klucz wsi i uchodził za karmazyna, a nie jedynie posesjonata, jakich w całej Rzeczypospolitej było na pęczki i tuziny.

Pierworodnego syna dręczyło to, że rodzic tracił czas i siły na jałowe spory i procesy z sąsiadami o jakieś marne i niewarte zachodu drobiazgi. Ot, ktoś mu urwał splechecę gruntu, kiedy indziej przepędził przez jego pole kozy czy barany, raz strzelił w okno, innym razem pobili się chłopci w karczmie na granicy z cudzymi poddanymi. A za to wszystko były od razu pozwy i protestacje, zwady i procesy... Po co to wszystko? Dla paru zagonów? Jacek rozumiał – że jak procesować się, to niczym magnaci ukraiński, z których każdy miał przynajmniej paręnaście wiosek i ze dwa miasteczka. Przy ich zajazdach ojcowe zatargi wyglądały wszak jak polowanie z psami na zające.

Zmarnował się stary. Pozdzierał głos i fantazję w małych sąsiedzkich sporach, pilnując włości, które nie były warte jego życia. Bo i na cóż to wszystko przyszło? Teraz pan stolnik leżał jak dziecko w betach w alkierzu. I nie to, żeby Jackowi było go żal z jakiejś niezmiernej synowskiej miłości, której, prawdę powiedziawszy, mało było między nim a rodzicem. Żal było samej pustki, jaka ziała teraz w każdym kącie dworu w Dydni. Dawno temu był sobie taki mały, biedny szlachetka. Wymachiwał szabelką na krewnych i znajomych, ćwiczył czeladź i służbę. A teraz, kiedy go nie stało, nagle tak zrobiło się cicho... Tak pusto i tak strasznie w Dydni.

Jacek jednak świadomie pomniejszał zasługi i znaczenie rodzica. Nazywał go małym, ale przecież pan stolnik miał poważanie u szlachty sanockiej. A chociaż nieraz zajeżdżał i przeprowadzał egzekucje, to nigdy bez jawnego wyroku sądowego i pozwolenia starosty. Lecz Jacek chciał widzieć go mniejszym z jeszcze jednej przyczyny: on prawie wcale ojca nie znał. Pan Aleksander Dydyński, zajęty polityką rodową i powiatową (na wojewódzką i koronną już nie starczało sił ani środków), odległy był dla niego równie wielce co owe przysłowiowe słupy

Herkulesa od granic Korony Polskiej. To prawda, zapłacił za poczet, dawał na jego zachcianki, ale zawsze był czymś zajęty. Najpierw, po śmierci matki Jacka, drugą żoną, a potem pozwami, wyrokami, zasiadaniem w trybunale, wreszcie kolejnymi zachciankami, miłośkami i sprawami domowymi. Częściej bywał na sejmikach i w zamtuzach niż w synowskim sercu.

I jakie plony zasiał, taką teraz zbierał zapłatę.

Stolnik sanocki zgasł przed południem. W pogodny, cichy poranek, kiedy żółte słońce podniosło się nad pagórami, rozpalając łany dojrzałych zbóż, a rosa opadała grubymi kroplami ze zwieszających się ciężkich kłosów. Synowie nie byli przy jego odejściu. Po prostu w pewnej chwili czuwająca przy nim Mironowa ujrzała, że jego pierś przestała się poruszać.

Jacek i Przeclaw przyszli do nieboszczyka. Przeclaw zamknął mu oczy, starszy brat pomodlił się. Nie mówili nic. Bo i o czym tu było mówić? Był człowiek – nie ma człowieka.

Wkrótce zabiły głucho dzwony odbudowywanego po pożarze kościoła w Dydni. Ich dźwięk skonał w błękitnym bezmiarze niebios; na próżno poszukiwał zagubionej duszy Aleksandra Dydyńskiego.

A potem przyszły kolejne zwykłe sprawy idące trybem odmierzoną i ustalonym przez polski obyczaj. To znaczy miały przyjść, bo wkrótce okazało się, że nic nie będzie takie, jak spodziewali się bracia.

Najpierw pan starosta trembowelski otworzył list od ojca, w którym ten dawał swoim synom jasne i wyraźne nauki odnośnie do przyszłego pogrzebu, castrum doloris i wszystkich ceremonii. I tu już wyszły na jaw pewne rzeczy, które dziwnie różniły się od wystawnego trybu życia pana stolnika.

– *Upraszam pilnie synów moich Jacka i Przeclawa, aby pogrzeb mój jak najuboższy odprawiony był – dźwięczały w uszach braci słowa ojca, który łajał ich jakoby prostych pacholików. – Bez żadnych okazałości, bez obiadu, ubogich tylko jak najwięcej wezwawszy, a także księży franciszkanów z Sanoka dla procesji, którym tak jak ubogim oddajcie jałmużnę za duszę moją. Cia-*

to moje nie na wozie prowadzić, ale nędzarzy sześciu zaciągnąć i każdemu po parze twardych talarów dać. Przy moim pogrzebie kazania aby nie było, pilnie proszę. Castrum doloris upraszam nie budować, na zbytki i czarne materie grosza nie marnować, ale ubogim i dziadom proszalnym rozdać złotych sto pięćdziesiąt. W kościele brewerii nie czynić, kopii i pałaszy nie kruszyć, w aksamity, bławaty, rysie i wilczury nie stroić się. Schować moje ciało nie w krypcie ani w sklepie u ojców franciszkanów, jeno w pobliżu kościoła w Dydni, w zwykłym grobie ziemnym, bez żadnych ceremonii, bez trumny, tylko w delurce i w kapciach, w kilim owinąwszy biały. Pana starostę trembowelskiego upraszam, aby baczenie dawał na moich synów, aby gest pański ich fantazji i honoru nie przeniósł i zbytich ekspensów na ceremonię nie ponieśli. A na grobie moim proszę wysoką usypać mogiłę, nie dla ambicji, ale dla symbolu pychy, co ze śmiercią jak sen przeminęła. O jedno to proszę, aby w kościele dać nad epitafium moim z kitajki dubli czerwonej dwa ogony rycerskie, po brzegach tę kitajkę pozłocić i na rohatynie czapkę z piórem przewlec i tak zawiesić. Wywijasów nie potrzeba i onych fartuchów białogłowskich wzbraniam wieszać, bo jeszcze kto pomyśli, żem był za życia niewieściuch albo francuski sodomita.

Jak to? Nie może być! – cisnęło się na usta Jacka i Przeclawa. Pogrzebać ojca bez pompy? Bez koni i kirysów? Bez husarzy na grobie? Jak proszalnego dziada? Za jakie grzechy i jak bardzo żałował stolnik, skoro po śmierci zrezygnował ze splendorów i honorów przysługujących mu jako posesjonatowi? Przeżywał na nowo śmierć albo okrutną niewolę Michała Dydyńskiego? Ale to przecież było pół wieku temu, dawno już okupił tę zdradę swoją krwią za czasów wojen króla Stefana, a jego syn Jacek – własnym trudem w Inflantach.

W tym samym czasie stare służące obmyły ciało ze śmiertelnego potu, nałożyły luźne szarawary, aksamitny żupan na koszulę białą jak śnieg, na to ferezję podbitą sobolim futrem – tylko po to, aby przystojnie wyglądał ojciec nieboszczyk przed oczami kompanów i przyjaciół.

Przeclaw wypisał i rozesłał po znajomych listy i kartusze zawiadamiające o śmierci stolnika sanockiego. I już następnego dnia poczęli zjeżdżać panowie i hajducy; a potem nie było dnia ani godziny, aby ktoś nie przybywał. Zatrzęsła się zatem cała Dydnia od koni, kolas i brożków – to jest krytych powozów, delii i kołpaków, soboli i pióropuszy, szkofii tudzież czaplich piór i kit, którymi zmiatali podłogę lepiej niż stara Mironowa i dziewczki służebne coraz to nowi statyści i persony, drobni szaraczkowie i posesjonaci, a nawet karmazyni. Wbrew bowiem zdaniu Jacka kto tylko żyw z okolicy ruszył na pogrzeb stolnika. Nie zjawili się tylko sędziwi starcy, małe dzieci i ci, którzy pokutowali sromotnie w wieżach i basztach albo z powodu banicji i infamii nie śmieli się pokazać tak blisko grodu sanockiego.

Przyjechali zatem kolejno: podczaszy halicki Jerzy Dydyński, z dalszej rodziny, ale tego samego herbu. Potem przybył z pocztą kilku kozaków i małym synem Łukaszem Stanisław Dydyński, podstoli sanocki. Po nim zjawił się Andrzej Ligeża, już pogodzony ze stryjem, potężnym Mikołajem Spytkiem z Rzeszowa, którego Jacek pospołu z ojcem obłuskali z dóbr i widendy na roczkach przeworskich. Po nim przyjechał w imieniu starosty Mniszcha podstarości sanocki Chamiec, a razem z nim wicesrejent Stanisław Kamodziński. Nie przybył, lecz przysłał starszego sługę kasztelan przemyski Stanisław Stadnicki z Leska, który poza imieniem, nazwiskiem i pokrewieństwem nie miał wiele wspólnego z osławionym Diabłem Łańcuckim. Za nimi nadciągnęła cała rzesza małej i dużej szlachty – Korytkowie, Ostrowscy, Łąccy, Grochowscy, Dembiccy, Leszczyńscy i Stanowie. Przyjechał też sam we własnej osobie Jan Szczęśny Herburst, starosta wiszeński, zwany w okolicy Herkulesem z Dobromila, albowiem tak nazwał się we własnej autobiografii. I jak łatwo można było się przekonać po tytule, wśród wielu cnót i przymiotów, którymi słynął pan starosta, skromność nie należała do tych, które najzarliwiej pielęgnował w swoim sercu.

Z tym zresztą Herburtem był znaczniejszy ambaras, albowiem poza nim na pogrzeb przybyli jego najznacniejsi wro-

gowie – Prudeńscy oraz pan Stanisław Korytko z Dymitrowic, którego hajducy Herburtowi napadli we dworze, oblegli jak nieprzyjaciela koronnego i zdobyli, łupiąc obronne fortalicjum do gołych ścian, a gospodarza obdzierając aż do takiejże samej gołej rzyci. W dodatku osiemnastego lipca przyjechał jeszcze jeden nieprzyjaciel Herburtów – pan Stanisław Wapowski, któremu uczony warchoł urwał gwałtem parę mil Wołostkowa. Na szczęście, zbrojna asysta i obecność starościńskiej milicji pana starosty trembowelskiego pohamowały wzburzone szlacheckie honory i poukrywały w pochwach szabelki, które w tych stroinach i owych czasach wyskakiwały z pochew równie łatwo co swawolne panie ze skąpych sukien.

Gdy przybył Piotr Bał, podkomorzy sanocki z gór, namioty nowo przybyłych tworzyły już prawdziwy labirynt, a Jacek zastanawiał się, czyby wojskowym obyczajem nie odmierzyć stancji. Tymczasem jednak nadszedł dzień dwudziesty drugi lipca, a sprowadzony z Sanoka malarz imaginował już portret trumienny pana Aleksandra Dydyńskiego tak trafnie, że można by pomyśleć, że żywy pan stolnik łypie okiem z portretu na szlachtę, a zwłaszcza na tych, z którymi wiódł za życia tasiemcowe sprawy sądowe.

Przez cały czas Jacek i Przeclaw byli jakby w amoku, a prawdę rzekłszy, to i nieźle pijani. Bo co ktoś przyjeżdżał i stawał we wrotach, trzeba go było witać na progu, a w tamtych zacnych czasach ludzką szczerość mierzyło się kwarcianymi szklanicami i ostrością szabli, a nie pustymi frazesami.

Za to pan Herakliusz Świrski czuł się wśród zgromadzonych niczym ryba w wodzie. Zjazd szlachecki był bowiem jego żywiołem, a plotki i obmowy sąsiedzkie chlebem powszednim. Wreszcie miał z kim pić, o czym pogadać i dowiedzieć się wieści: kto umarł, kto się narodził, co kto zrobił i kupił, co dzieje się w okolicy, czyli w Sanoku i Przemyślu, a także w szerokim świecie, to jest we Lwowie, Krakowie i Zamościu. A zatem: że panią Kostecką, wdowę niezamożną, pojął karczmarz ze wsi pod Wiśniczem, ona zaś przymusiła, by kupił jej kolasę i parę

koni, sama nimi do kościoła jeździła, męża chłopą się wstydząc; szedł zatem biedny karczmarczyko piechotą koło żoniego powozu. Że imć Piaseckiego znaleźli słudzy pana Czyża pod łóżkiem małżonki, gdzie się zakradł po nadobny i przyobiecany kąsek, za co ich pan kazał go potem przywiązać golusieńkiego do konia, a potem pognać rumaka poprzez chrusty i chaszczę. Że Ramułt porwał synowicę panu Trojeckiemu, a potem był tak zuchwały, iż kiedy się spostrzegł, że zapomniał posagu, wrócił w biały dzień i złupił Trojczynę ze szczętem. A to że Sulatycki stary pojął za żonę młodą Ceranowską, przechodkę przemyską; pewnie go teraz wokół palca okręci. A dzieci w płacz, zajeżdżać chcą macochę, co dwadzieścia lat młodsza od nich. I także że Bełdowski Daniel zalecał się córce pana Pszonki, chcąc ją brać bez posagu; dowiedziawszy się, że bękart, odgromiono go z kretelem. A nawet że w awanturze w zamtuzie krakowskim przy murwach pobito tego Jerzego Krasickiego, nielubianego w całym powiecie i przezywanego grandżazą.

Czas jednak pędził i poganiał niby karbowy – panowały upały i ciało poczynało się psuć; nie można było odkładać pogrzebu w nieskończoność. Zwłaszcza że zgodnie z wolą zmarłego testament, będący na przechowaniu u Piotra Ożgi, miał być otwarty dopiero po ceremonii pogrzebowej.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki